Rok XI. Kraków, 15. czerwca 1908 r. Nr. 12.



„BOCIAN“

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie z przesyłką pocztową 2 korony, 2 marki, 1 rbs. 25 kop.

Adres Redakcyi i Administracyi: Kraków, Zacisze 7. Telefonu Nr. 479.

Numer pojedynczy 40 halerzy. 20 kop. Główny skład na Królestwo: Warszawa, Biuro G. Ungra, Aleje Jerozolimskie 78.



— Wysoki Sądzie! Wprawdzie świadkowie zeznali, że klientka moja dopuściła się względem swego małżonka złamania wiary małżeńskiej, jednakowoż Wysoki Sąd zechce przyjąć jako okoliczność udowodnioną, że klientka moja działała tu pod nieodpornym przymusem, skoro dowiedziała się, że mąż jej nie był zdatnym nawet do jednorocznej służby wojskowej!...

Od Administracyi.

Z niniejszym numerem ukończył się II kwartał. Prosimy przeto wszystkich naszych Czytelników, którym prenumerata z niniejszym numerem się skończyła o szybkie nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w odbieraniu regularnem naszego pisma.

P. T. Prenumeratorzy galicyjscy zechcą nadsyłać wprost do Administracyi naszego pisma

Kraków, ul. Zacisze 7

P. T. Prenumeratorzy w Królestwie Polskiem i Ces. Rosyjskiem do

Biura G. Ungra w Warszawie
Aleja Jerozolimska 78.

Przedpłata do końca września wynosi:

w Galicyi — — — — — 2 korony
w Król. Polskiem — 1 Rbs. 25 kop.

do końca roku:

w Galicyi — — — — — 4 korony
w Król. Polskiem — 2 Rbs. 50 kop.

Prenumeratorzy galicyjscy otrzymują w dzisiejszym numerze dołączony czek pocztowy, którym bez jakiejkolwiek dopłaty za porto, można przesłać dalszą prenumeratę.

KONGRES.

Jedli pili „towarzysze"
W teatralnej starej sali
I na wyzysk robotnika
Z oburzeniem pyskowali!

Pan Daszyński dość wykazał
Stanowczości przedsięwzięcia
I popijał przy tem wino
I pulardę jadł z kurczęcia.

A Dyjamant proletaryusz
Co ma teścia milionerem,
Pił szampana jednym duszkiem
Z przekonaniem bardzo szczerem!

A toasty przeplatali
Urąganiem po zwyczaju:
„Gwałtu, rety! Co się dzieje!
Patrzcie, jaka bieda w kraju!"

Kt. Kr.

* Łaknąca wiedzy.

Pani Toselli rozwodzi się z mężem! — takie słuchy chodzą po gazetach. Dlaczego? To rzecz całkiem jasna... bo pani Toselli jest osobą, łaknącą bardzo wiedzy... już miała nauczyciela języków i nauczyciela muzyki... teraz chciałaby dla odmiany wyjść za *nauczyciela gimnastyki*...

Z MOABITU.

Z Moabitu depeszują
Wprost zatrważające wieści,
Że dostojny pan Eulenburg
Potępieńcze ma boleści!

Ciągle jęczy, ciągle kwiczy
W beznadziejnej męce swojej,
A gdy ma chwilową ulgę
Chorych chłopów niepokoji!

Więc ze względu na moralność
Zarządzono w dobrej wierze,
Że lekarze i służący
Muszą z tyłu mieć pancerze!

Bardzo myśl tę pochwalamy
Ale *vice-versa* znowu,
Damy radę zarządowi
Niech naszemu ufa słowu!

Pan Eulenburg niebezpiecznym
Tylko dla płci męskiej bywa,
Lecz dla kobiet jest bezpłciową
Kreatura nieszczęśliwa!

Chłop niech z tyłu pancerz nosi
Niechaj go okrąża w koło,
Lecz dyakoniski mogą
Chodzić przy nim choćby — goło!

Kt. Kr.

* Słuszna uwaga.

Pan W., stary kawaler, lubiący systematyczność i porządek, od szeregu lat jeździł na wakacye do pewnej wioski pod Nowym Targiem, gdzie mieszkał zawsze u tej samej gosdodyni. Tego roku wybrał się naturalnie także do owej wioski, lecz wszystkie owe wygody, do których w swem mieszkaniu letniem był przyzwyczajony, tego roku nagle się urwały, gdyż... hm!.. jego gospodyni spodziewała się... powiększenia rodziny... Okoliczność ta popsuła mu ogromnie szyki, toteż chodził jak struty i klął co mógł w duchu na nieproszonego intruza, który tak niestosowną porę obrał sobie do przywędrowania na ten świat. Przy jakiejś tam sposobności zwraca uwagę swej gospodyni na całą jej niepraktyczność, że właśnie w pełni sezonu bocian ma do niej przylecieć... Lecz odpowiedź gospodyni była zgoła zdumiewającą:

— A cóz jo temu winna? — odparła gospodyni. — Cy moze mom kalendoz brać do łóżka?



* Sprawiedliwy.

Katolik, muzułmanin i Serb siedzą razem w coupeé pociągu na linii Serajewo-Mostar. Rozmowa zeszła na temat, kto z nich jest najsprawiedliwszym.

— Ja! — rzekł katolik. — Albowiem wszystkich z wyjątkiem niewiernych, całem sercem miłuję!

— Ja jestem najsprawiedliwszym! — rzecze na to muzułmanin — gdyż wcale się o innowierców nie troszczę!

— Mylicie się! — rzecze Serb. — Ja jestem najsprawiedliwszym, gdyż z wszystkimi jednakowo się obchodzę!

— Tak też było w rzeczy samej. Bo gdy katolik i muzułmanin na najbliższej stacyi wysiedli — obydwom brakowało portmonetek...

* Skromny.

Mama: Więc pan prosi o rękę mojej córki Henrysi! A czy pan wie, że to jest moja jedyna córka?!

Konkurent: Wiem bardzo dobrze... ja też więcej jak jednej nie potrzebuję...

* Z sali sądowej.

Szmul Fischsaft stoi przed sądem oskarżony o paserstwo, tj. o to, że nabywał kradzione rzeczy.

Sędzia: Czy oskarżony nie wiedział o tem, nie domyślał się, że to są rzeczy kradzione?

Szmul: Proszy przeszwienty tribunału! Ja wcale nie wiedżałem, że to som kradżony, bo jakbim ja wiedżał, że som kradżony, tobim tilko dał za nie cztyry koronów, a nie dżeszęcz, tak, jak zapłaciłem...

* Z kasarni.

Pan *regimentsarzt* przyjeżdża na wizytę do małego miasteczka, gdzie nie było stałego lekarza wojskowego, albowiem stała tam tylko kompania piechoty. Przy *marodwizycie* zgłasza się jakiś żołnierz z prośbą o wyrwanie bolącego zęba. Ale na nieszczęście pan *regimentsarzt* zapomniał zabrać ze sobą obcążków... Co tu robić? Wtem wpada na dobry pomysł. Daje choremu żołnierzowi guldena i każe mu się udać do lekarza cywilnego. Skutek zaś był ten, że na drugi dzień zgłosiło się przy marodwizycie 14 żołnierzy z bólem zębów...

* Kto ma racyę?

Kohn i Schmelkes, dwa spólniki od „takie wielkie firmy eksportowe", przychodzą rano do biura i zastają w wielkiej kasie wertheimowskiej do połowy wywierconą dziurę — widocznie w nocy odwiedzili ich lokal włamywacze.

Kohn (do swego wspólnika): Jak uni sobie muszeli wszczikacz, że ni mogli sobie do naszy kasy dostacz!

Schmelkes: Ti, Kohn, a jakby sobie uni dopiro wszczikali, jakby naszy kasy otworzyli!...

Wstydź się, Zośka!

(Humoreska małżeńska).

Od czasu, gdy radca rachunkowy, pan Anastazy Niedaradzki umieścił na balkonie swego mieszkania kilka doniczek z kwiatami, godzinami całemi przesiadywał na balkonie. A czasu po temu miał dość, gdyż służba w biurze kończyła się o trzeciej po południu, pan radca wówczas siadał do tramwaju i jechał do domu — a mieszkał na samym końcu miasta, tuż koło toru kolejowego. Jego mieszkanie mieściło się na trzeciem piętrze, a dzielił je ze swoją Zośką... Gdy spacerowali razem po plantach, myślał ten i ów: ojciec i córka! Lecz niechno jakiś mężczyzna trochę uważniej na „córeczkę" spoglądnął, natychmiast wiekowy pan radca chwytał swą Zośkę pod rękę i zmykał z nią tak siarczyście z widowni, że człowiek o przeciętnych pedałach nie mógł mu nadążyć...

Zośka była córką jego praczki. Przychodziła bardzo często do pana Anastazego z bielizną. Otóż pewnego dnia zaproponował pan radca pięknej Zośce małżeństwo, a właściwie, mówiąc prawdę, stało się to dopiero wówczas, gdy Zosia czerwona jak burak i spocona jak mysz, chciała uciekać z kawalerskiego mieszkania pana radcy prosto do swej mamy na skargę... Albowiem są chwile w życiu człowieka... a na pana radcę rachunkowego pewnego dnia majowego także taka chwila przyszła...

Dotychczas, chwała Bogu, nie żałował tego kroku. Bo też Zośka była prześliczną, apetyczną kobietką. Miała lat 18, złoto-blond włosy, fijołkowe oczy, śnieżno-białe ciałko, a jej wargi — to istne dwie dojrzałe wisienki, któreby niejeden chętnie i skwapliwie zerwał i pożarł... Zosia płakała także niekiedy po nocach. Lecz jej mąż nic o tem nie wiedział, gdyż w nocy smacznie sypiał. A na drugi dzień pani Zofia znowu wyglądała świeżo i zdrowo, gdyż, jak to zwykle bywa, była niepoprawną optymistką i łudziła się nadzieją. A gdy z swego balkonu spoglądała na pustą ulicę, zdawało jej się zawsze, że pewnego pięknego poranku zjawi się jakiś rycerski królewicz, który ją z niewoli oswobodzi...

— Wiesz, Zośka! — rzekł pewnego dnia pan radca do swej żony — tutaj, do mieszkania obok nas, ktoś się sprowadza. Czyś już widziała nowych lokatorów?

— Jeszcze nie! — odparła żonka. — Tylko wiesz, wczoraj tam w mieszkaniu był tapicer, który cały ich balkon obwiesił płótnem żaglowem... Wygląda teraz, jak prawdziwy namiot...

Przy tych słowach otworzyła szklane drzwi, prowadzące na balkon i ciągnąc męża za rękaw, ręką wskazywała na balkon sąsiedni:

— Widzisz, jak szczelnie obwieszony! Nawet najmniejszej szparki nie ma! Nic nie będzie można widzieć, co się tam u nich dzieje...

W istocie balkon sąsiedni, zaledwie o trzy metry od nich oddalony, zasłonięty był cały pstrą materyą przed spojrzeniami niedyskretnych sąsiadów.

— Jak szwimhozy! — rzekła Zośka z despektem.

Czarne oczy pana radcy, mimo sześćdziesiątki z okładem, jeszcze błyszczące, podejrzliwie spoczęły na niezwykłym namiocie, lecz widocznie jakaś przyjemna myśl wywabiła na jego zasuszone usta delikatny uśmiech.

MIĘDZY PRZYJACIÓŁKAMI.

Do pani Eufrozyny
Kobietki — aż oskoma! —
Raz przyszła w odwiedziny
Najbliższa jej znajoma.

I powierzają sobie
Najskrytsze swe sekreta,
Bo dużo do mówienia
Z kobietą ma kobieta!

O mężach i kochankach,
O dzieciach i o sługach,
O różnych dochodzikach
Jak i o różnych długach.

I udzielają nowin
Wzajemnie już do spółki,
Aż wreście rzecze pierwsza
Do swojej przyjaciółki:

— Że swego męża zdradzasz,
To fakt jest oczywisty,
Lecz powiedz mi, gdzie chowasz
Przed mężem twoim — listy? —

— Nie znajdzie on ich nigdy
Wtem cała moja sztuka,
Bo tam, gdzie ja je chowam,
On — nigdy tam nie szuka!

— I gdzież to? — pyta pierwsza,
Zaciekawiona trochę. —
— Przeważnie poza gorset,
A czasem — za pończochę!...

Remember.

W szkole.

Nauczyciel egzaminuje ucznia, ale jakoś nie tego idzie, bo uczeń co chwila utyka. Jego sąsiad mu podszeptuje:

— Nic się nie bój! Nauczyciel jest stary osioł!...

— Cicho tam w tyle! — woła nauczyciel. — Nie podpowiadać! *On już sam na to przyjdzie...*

◦ Dowcipniś.

W pewnem towarzystwie, gdzie się zebrało mnóstwo pań i panów w celu omówienia loteryi fantowej na rzecz ubogich, toczy się ożywiona rozmowa. Po jakimś czasie gospodyni domu powstawszy, idzie otworzyć okno, gdyż z wypalonych papierosów przez panie i panów, narobiło się mnóstwo dymu w pokoju.

— Państwo pozwolą puścić trochę wiatru! — poczem otwarłszy okno, siada napowrót przy stole.

Pan X., który słynął z dowcipu, chcąc dokuczyć gospodyni, odzywa się:

— I owszem, prosimy, tylko proszę wstać z wyplatanego krzesła, boby wiatr miał wielki ambaras, którą dziurką ma wylecieć...

* Dosłowne tłómaczenia.

In majorem gloriam — na chwałę pana majora.

La force majener — pani majorowa.

◦ Wet za wet.

Na zebraniu towarzyskiem pani domu przez nieuwagę zgubiła jeden sztuczny ząb i pomimo usilnych poszukiwań nie mogła go znaleźć. Na drugi dzień jednak dostaje od jednego z gości pudełeczko i list następującej treści:

„Łaskawa Pani! Będąc obecnym na zebraniu u pani, przypadkowo znalazłem pani ząb i pospiesznie odsyłam go właścicielce“.

Przeczytawszy to, uradowana, otwiera czemprędzej pudełeczko i — o dziwo! — znajduje w nim ząb ale... wołu... Zirytowana, chwyta za pióro i natychmiast odpisuje:

„Szanowny Panie! Że mi Pan ząb odeślesz, byłam mocno przekonana, ale żebyś pan do tego stopnia posunął swą życzliwość, wyrywając ząb sobie, tego nie przypuszczałam“...

* Z bruku warszawskiego.

Na Marszałkowskiej spotyka facet szykowną panienkę. Sunie za nią prędko, a zrównawszy się z nią, mówi z galanteryą:

— Czy mógłbym panienkę zaprosić na herbatkę do cukierni?

— Odwal pan! — mówi panienka opryskliwie. — Już ja znam te herbatki wasze!... Raz usłuchałam zaproszenia na herbatkę, to potem przez trzy kwartały chodziłam z samowarem...

* Na lekcyi historyi.

(Autentyczne).

Nauczyciel: Ty znowu nie uważasz, Pliszka!

Uczeń: Owszem, proszę pana psora! Ja uważam!

Nauczyciel: Zaraz się przekonamy! O czem ja teraz mówiłem?

Uczeń (kopie swego sąsiada po lewej stronie i nadsłuchując uważnie, mówi): O królu francuskim Henryku IV-tym!...

Nauczyciel: To się zgadza! Ale jakie to sławne zdanie tego króla ja zacytowałem?

Pliszka, w kłopocie, kopie swego sąsiada po prawicy, który mu, ale bardzo cicho podpowiada: „Mojem życzeniem jest, żeby każdy chłop w niedzielę miał kurę w garnku!“ Jednakowoż do uszu Pliszki wpadają tylko pojedyncze słowa: „chłop“, „niedziela“, „garnek“...

Nauczyciel (z niecierpliwością): No! Więc cóż Henryk IV powiedział?...

Pliszka: Powiedział.. powiedział... żeby każdy chłop... w niedzielę... robił... do garnka...



SODOMA I GOMORA.

Okropne mamy czasy
Rozpusty, wyuzdania,
Wprost leci do przepaści
Świat — według mego zdania.

To zaślepienie zmysłów,
Ten szał — jest dla mnie obcy,
Trza raz się opamiętać,
Dziewczęta wy i chłopcy!

O, czemuż wszyscy ludzie
W uczuciach nie są czyści?!
Czuwajcie nad młodzieżą
Na Boga! moraliści!...

Zwalczajcie zło w zarodku
Moralnych sił ostatkiem!
Ja wam opowiem tutaj
To, czego byłem świadkiem:

To było w karnawale,
Widziałem naprzeciwko
Młodzieńca z czarnym włosem
Dziewczynę z jasną grzywką!

Ach! gdzież? gdzież się podziała
Moralność i etyka?
On był bez kamizelki,
A ona bez stanika!

Ach! zgroza na to patrzeć!
Nie, to nie do pojęcia!
Dziewczyna go całuje —
On — bierze ją w objęcia!...

Młodzieniec z czarnym wąsem,
Dziewczyna z jasną grzywką
Na pół w negliżu byli —
Widziałem naprzeciwko.

Powiedzcie moraliści
Natychmiast chcę — w tej chwili —
Dlaczego ci zbłąkani..
Żaluzyi nie spuścili?...

K. K.

* Z hofu koszarowego.

Kapitan (do jednorocznego przy raporcie): *Himmelkreuzdonnerwetter!* To sem przecze jednorocznemu brakuje jeden guźik przi waffenroku! U nas w Austryi jeszczeszmy chwala Boga nie zaszli tak daleko *mit der verfluchten Abrüstung!...*

Niema obawy.

— Jakto Maniu — ty zaręczyłaś się z Władkiem? Nie jesteś ty za wielkim bałamutem?

— No, tę troszkę wierności małżeńskiej zdaje się, że dotrzymam.

Na ulicy.

On: Pozwoli pani, żebym się z nią zapoznał?

Ona: Jeżeli się pan nie oddalisz, to natychmiast mnie poznasz.

— Eh, to prawdopodobnie jakieś młode małżeństwo tu się sprowadziło! Chcą... tego... być bez przeszkody... — rzekł do żony.

A ona w pierwszej chwili także się roześmiała, lecz zaraz potem czoło jej się zasępiło... widocznie pewne momenty porównawcze nie bardzo wypadły na jej korzyść..

— Także coś! — rzekła opryskliwie. — Do tego nie potrzebują namiotu... takie szczęście.. mogę go także używać przy otwartym balkonie!...

Pan Niedaradzki udawał, że nie słyszy i umyślnie skierował rozmowę na inny temat, mniej śliski.

Po kilku dniach państwo radcostwo spotkali na schodach młodego, przystojnego, eleganckiego mężczyznę.

— To jest ten nowy lokator, nasz sąsiad! — rzekła pani Zofia.

— Taaak? — zabrzmiało nie bardzo radośnie z ust pana radcy. — A ty skąd o tem wiesz?

— Widziałam wczoraj przypadkowo — jak wchodził do mieszkania...

— A jego żonę także?

— Nie!... Wogóle żadnej kobiety dotychczas nie zauważyłam...

— A czy mają służącą?

— Nie! widocznie nie!

— No, dość tego! — rzekł mąż surowo. — Mam nadzieję, że nie będziesz się więcej zajmowała naszem sąsiedztwem!...

Lecz żonce nie był w smak karcący ton męża, więc wzorem młodych mężatek, zrobiła rozkapryszoną minę. A było to w sobotę koło godziny 7-ej wieczorem. A panu radcy znowu, który od najwcześniejszej młodości był przyzwyczajony do porządku i systematyczności, już wcale a wcale nie „pasowało“, że żona się na niego gniewa, albowiem, rozumował: koniec dnia, a tem bardziej całego tygodnia, powinien być wesoły, pogodny...

Był wtedy śliczny, gwiaździsty wieczór majowy. Państwo Niedaradcy siedzieli po ciemku, osłonięci oleandrami i liśćmi dzikiego wina na swoim balkonie. Oczy pani Zofii bez przerwy zwrócone były ku sąsiedniemu balkonowi, który wewnątrz rzęsiście oświetlony, zdala był podobny do różnokolorowego lampionu.

— Może pójdziemy spać, moje serce!? — rzekł stary radca i czule pogłaskał pełne ramię swej żony.

Lecz ona żachnęła się niecierpliwie.

— Daj mi święty spokój! — rzekła.

— Cóż tobie jest, moja droga? — szeptał błagalnie stary mąż.

Nic, absolutnie nic jej nie było, tylko do jej uszu doszedł dźwięk szklanek i serdeczny śmiech wesołych, młodych ludzi. Nagle wydało jej się, że jest ptakiem, przemocą w klatce więzionym, więc nieprzeparte pragnienie wolności zaczęło jej pierś rozsadzać... Ach! Gdyby tak mogła wyfrunąć na wolność... złotą wolność!...

W tej chwili w ciszy nocnej rozległ się z sąsiedniego balkonu głosik kobiecy, który wesoło coś wykrzykiwał. Zaraz potem pełny bas męski wśród wesołego śmiechu zawołał:

— Wstydź się, Zośka!

Pani radczyni zadrżała... Jej imię? Jakże mogła wyglądać tamta Zośka? Co to była za jedna? Zamyślona, wzdychając ukradkiem, udała się za swym mężem do sypialni...

SMUTNE DOŚWIADCZENIE.

Raz w pewnem towarzystwie
Pytano się faceta,
Kto zwykle jest wierniejszym,
Mężczyzna, czy kobieta?

— Kobieta! — rzekł młodzieniec —
Bo nie jest to nowina,
Że ona sobie miłość
Najdłużej przypomina.

Ot! *rendez-vous* raz miałem
Z panienką wieczór cały,
A ona — przypomniała
Mi o tem... w trzy kwartały!...

Chat-Noir.

* Na rekolekcyach.

Do pewnej wioski pod Warszawą, której mieszkańcy słyną z bardzo rozwiązłych obyczajów, zjeżdża pewien znany kaznodzieja, Reformata, aby zbłąkane duszyczki naprowadzić na drogę prawdziwej cnoty i moralności. Ksiądz Reformat poważnie traktuje swe obowiązki i systematycznie obchodzi wszystkie chałupy, pouczając i umoralniając w bezpośredniem zetknięciu się grzeszne owieczki. Otóż w pewnej chałupie zastał ksiądz — rzecz w owej wiosce bardzo częsta — niezamężną matkę...

— Dlaczegoż, córko, nie wyszłaś za mąż za ojca twego dziecka? — pyta ksiądz z indygnacyą.

— Prose łaski ksiendza dobrodzieja — mówi wiejska piękność skromnie, oczy ku podłodze spuszczając — bo to nie było nijak mozliwe...

— Eh! gadanie! To są zwykłe wymówki!...

— To nie som zadne wymówki, ale ksiondz dobrodzij by sie takze ni móg zenić!...

— No, naturalnie! Wszak ja jestem duchownym!

— Otóż to! — mówi dziewczyna, rumieniąc się jak piwonia. — Mój był takze... wikary...

Z westchnień małżonka.

Niejednemu zdaje się w dzień ślubu, że jest bardzo mądry — i dopiero jak mu rogi wyrosną, spostrzega się, że był głupi jak wół.

*

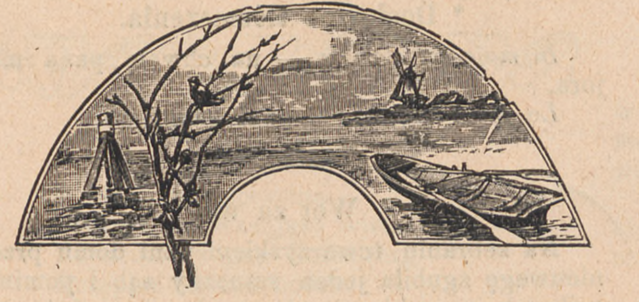
Podanie niesie, że Ewa powstała z żebra Adama. Otóż dlaczego całe życie kobieta męczyźnie wyłazi bokiem.

Z pamiętnika Don-Juana.

...Jeśli mam wybierać między córką a matką, to zawsze daję pierwszeństwo matce... Córka może przecież jeszcze zaczekać!...

* * *

...Kobieta jak twierdzą — poddaje się, ale po wygłodzeniu...



* Kto ma racyę.

Josel Kalbfuss, bardzo pobożny i uczony talmudysta, ale bardzo ubogi żydek ślęczał razu pewnego w bóżnicy nad księgami i rozmawiał (a przynajmniej tak mu się zdawało) z samym Panem Bogiem.

Josel: Powiedz Ty mnie, *Gottleben*, co u czebi znaczy tysząc lat?

Bóg: Jednę chwilkę!...

Josel: A co u czebi jest tysząc koron!

Bóg: Jeden cent!...

Josel: Mój ty panie! Pożycz mi jednego centa!...

Bóg: Zaczekaj chwilkę!...

Z ruchu umysłowego w Krakowie.

(Scena w jednej z księgarni).

Przejeżdżający: Prosiłbym szanownego pana o jakie nowe dzieła.

Księgarz: Najnowsze to: „*Miesiąc korony cierniowej pana naszego Jezusa Chrystusa*“.

— Tak — to nabożne. Ale jabym chciał coś naukowego n. p. z geografii.

— Jest „*Droga do życia pobożnego*“ przez św. Franciszka Salezego.

— To, to samo! Pokaż mi pan coś z fizyki.

— „*Czyste westchnienie do Boga*“...

— No, to także przecie nabożne! Dajże mi pan co z filozofii.

— „*O naśladowaniu Chrystusa*“ przez Tomasza á Kompis. — Ze sztuk pięknych mamy: „*Wianek nabożeństwa dla dzieci polskich*“...

— I to już wszystko?

— O nie! Są jeszcze: „*Wykład snów*“, *Kalendarz* i wydawnictwa Akademii Umiejętności...

AFORYZM.

Jakim mieczem kto wojuje,
Od takiego ginie —
Więc niejeden klnie płeć słabą
W ostatniej godzinie!

Podczas uczty weselnej.

— Ty uważasz, jak ten pan młody milczy cały czas, jak gdyby był niemy?

— Nic dziwnego mój kochany — w nieszczęściu człowiek zawsze oniemieje!

DWIE DROGI.

Dwoje młodych się sprzeczało
Na punkcie miłości,
On i ona swe pretensye
Do tej sprawy rości!

Kwestya poszła o pytanie,
Która jego złości —
Czy mężczyzna, czy kobieta
Lepszą jest w miłości!

Ona mówi: „Taki jest już
Na świecie porządek,
Że do serca mężczyzn wiedzie
Droga przez... żołądek!“

— Hm! być może! — on odrzeknie
I zmierzył facetkę —
Do serc kobiet wiedzie droga
Poprzez portmonetkę...

Amaris.

* Z „hofu“ koszarowego.

Jego ekscelencya pan diwizyoner „inspiciruje“ koszary. W trakcie swego urzędowania przychodzi także do sali prób kapeli pułkowej, gdzie właśnie kapelmistrz ćwiczy z swą orkiestrą uwertutę z *Tannhäusera*. Jednakowoż pech chciał, że mimo wszelkich wysiłków dyrygenta, produkcya muzyczna wypadła bardzo kiepsko. Ekscelencya przez chwilę przysłuchuje się muzyce, wreszcie niezadowolony, marszczy brwi i mówi do kapelmistrza:

— To skandal dla regimentu! Cywile w operze lepiej to grali!...

* Dobra rada.

Mały Salomon, którego ojciec jest wydawcą bardzo rozpowszechnionej gazety inseratowej, zachodzi razu pewnego ze swym nauczycielem domowym, naturalnie z ciekawości, do kościoła katolickiego, gdzie właśnie znany kaznodzieja wygłasza kazanie. Wzniosłymi słowy przedstawia ksiądz — jak papież nad tem boleje, że mimo wszelkich wysiłków kleru, państwo Boże na ziemi tak powoli się rozprzestrzenia. Salomon, usłyszawszy to, szarpie swego nauczyciela za rękaw i szepce mu do ucha:

— Proszy pana! Dlaczegi sze un u nas nie inseruje? Przecze mi mamy w niedziele nakład na oszmnaszcze tyszącòw!

Źle zrozumiała

Mąż: Moja kochana — nie powinnaś nigdy zapominać o tem, że ja zrobiłem dla ciebie mezalians, a moi przodkowie, gdyby żyli...

Ona: Bądź spokojny — jakkolwiek zerwałam z nimi zupełnie i nawet ze sobą nie korespondujemy — te jednak wiem, że jeszcze ze trzydziestu twoich przodków żyje!...

Jakoś w ośm dni później rzekła pani Zofia do męża przy obiedzie:

— Wiesz, mężusiu, ja idę dzisiaj wieczorem z moją przyjaciółką do teatru!

— Z Michasią? — zapytał pan radca.

— Tak jest! Grają „Kordyana“...

— To bardzo ładnie! Czy mam po was przyjść do teatru?

— Uchowaj Boże! Pocóżbyś się fatygował? Jej brat mnie odprowadzi do domu...

Pan radca był spokojny. Przyjaciółka jego żony była tak dalece brzydką, że wszelkie zbliżenie się mężczyzny jakiegoś do jego żony było wykluczone.

Także ów wieczór, gdy żonka była w teatrze, był piękny, pogodny. Pan radca późno w noc siedział na swoim balkonie, używając ożywczego chłodu i czekając powrotu żonki. Balkon sąsiedni był znów jasno oświetlony, ze środka dochodziły go wesołe głosy i śmiechy. Jego ucho mimo podeszłego wieku dość wyraźnie odróżniało na ogólnem tle wesołego gwaru, ów cichy, przytłumiony szelest, pochodzący od długich, namiętnych pocałunków... Gorąco się zrobiło staremu panu radcy, pragnął jaknajszybszego powrotu swojej żony, a tu tymczasem przedstawienie teatralne do niemożliwości się przeciągało...

Nagle w ciszy nocnej rozległ się srebrzysty śmiech kobiecy, niby kaskada pękających rakiet, a zaraz potem, jak przed tygodniem, głos męski zawołał:

— Wstydź się, Zośka!

Jak mu ten śmiech przypominał jego żonę... Widocznie sąsiad jego miał także swoją Zośkę! Czy tamta jest również ładną i słodką, jak jego Zośka?...

Pan radca zamyślony, patrzał przed siebie. Nagle w sąsiedztwie stało się niezwykle jasno... Jak? Co?... Wszak płótno namiotu się pali!... Niby czerwona fala, ogarniał płomień przepojone gumą płótno, a wiatr unosił w górę palącą się kurtynę...

Pan Anastazy patrzał przed siebie szeroko rozwartemi oczami... Tam, na sąsiedniem balkonie, jakiś mężczyzna gwałtownie manipulował koło płonącego płótna, a na środku, w najintymniejszym negliżu, niby żona Lota w słup soli przemieniona, stała jakaś kobieta — j e g o żona!... Biedny radca natychmiast poznał swoją Zośkę! Napróżno szukał jakiegoś stosownego wyrażenia, chciał coś wykrzyknąć, lecz słowa w gardle mu więzły... Dopiero po dłuższej chwili wewnętrznego szamotania się, wymknęły mu się z zaciśniętych ust słowa, które jeszcze przed chwilą tak radośnie i ach! tak obojętnie o jego uszy się obiły:

— W s t y d ź s i ę, Z o ś k a!..

Persico.



Gdy kobiety kochają...

(Szkic z życia teatralnego).

Pozostawali w niemym, namiętnym uścisku... On wysoki, smukły, przystojny mężczyzna o czarnych jak smoła włosach i jeszcze czarniejszych (o ile to możliwe) oczach, ona, mała, drobna blondynka, przypominająca żywo porcelanową figurkę w stylu *rokoko*. Uśmieszek ironiczny, ledwo dostrzegalny, błąkał się na jego ustach w owej chwili, gdy ją, swą koleżankę z teatru, trzymał w swoich objęciach, podczas gdy ona spoglądała na niego z niekłamanym zachwytem, jak na świętego. Nowa serya całusów i uścisków, tak, jakgdyby się znajdowali na scenie a rozbawiona publiczność wołała: „Da capo!“...

Jak ona tęskniła za tą chwilą, aż wreszcie dopięła swego! On, za którym wszystkie kobiety stolicy szalały, on, ubóstwiany, wymarzony, teraz u jej stóp leżał!... Osiągnęła wreszcie to, o czem blisko rok beznadziejnie śniła!... Cóż ją teraz obchodziły zachody i pochlebstwa jej licznych wielbicieli, którzy zasypywali ją kwiatami, cukrami i prezentami? Nic a nic!... Gwiżdże na nich!... Jego jednego kocha, tylko jego jednego chce posiadać!...

Symfonia szczęścia ich ogarnęła!... Zapomnieli o świecie bożym!... Nie zauważyli, że słońce już zaszło, a cienie zapadającej nocy zalegały jej buduar... Co chwilę przyciskał ją do siebie i gorące składał na jej karminowych wargach pocałunki... Dzisiaj nie było spektaklu, postanowili zatem wspólnie wieczór przepędzić. Musiał jej opowiadać, jak się to stało, że dotychczas wcale na nią nie zwracał uwagi.

— Widzisz, moja mała! — mówił. — Do koleżanek właściwie nigdy nie czułem żadnego pociągu! Są one zazdrosne, jak basza turecki, robią sceny, fochy, jednem słowem, zamiast być osłodą życia, są zwykle tylko kulą u nogi! Zupełnie inaczej przedstawia się stosuneczek z mężatką, wogóle z kobietą z lepszych sfer — do niczego to nie zobowiązuje... a potem... można łatwiej zerwać...

— Ale mnie, wszak zawsze będziesz kochał?!... — szepnęła błagalnie.

Nie odrazu odpowiedział. Spoglądał na swój cudowny pierścień brylantowy, w którym promienie księżyca czarodziejsko się załamywały.

— Ależ naturalnie! — rzekł po chwili. — Ty jesteś zupełnie inna, taka całkiem inna!... Czemu ja pierwej nie zwróciłem na ciebie uwagi?... Naturalnie, ciebie będę wiecznie kochał... no tak... jak długo to będzie możliwe!...

Brzmiało to trochę sucho, patetycznie, ale, mój Boże! Widocznie już taki jego zwyczaj, perswadowała sobie w myśli. Potem mówili o obojętnych rzeczach, o zbliżających się feryach, gdzie wyjadą, o planach na przyszły sezon... Jakby to ładnie było, gdyby się razem wybrali naprzykład do Zakopanego, zauważyła ona.

Widzisz, moje serce! — odparł on. — To niemożliwe! Na lato muszę jechać do — wymienił jakieś miasteczko prowincyonalne — bo musisz wiedzieć, tam mam żonę i dzieci...

Zerwała się z kozetki, jakby ją skorpion ukąsił.

— Ty jesteś żooonaaaty?!... — krzyknęła.

— Tak jest! Ale sza! Nikt nie śmie o tem wiedzieć! Żonaty amant jest niemożliwy na scenie!... Taki nie dostaje żadnego engagement!...

Czarna rozpacz ją ogarnęła! Rzuciła się na łóżko i zaczęła płakać, gorzkiemi, gorącemi łzami...

— Ty żonaty!... Masz dzieci!... Oh, ja nieszczęśliwa!...

Chciał ją pocieszać, ale jego słowa tonęły w kaskadzie jej serdecznego łkania... Gdy się nieco uspokoiła, przyciągnął ją do siebie do okna, odgarnął jej złociste loczki z zaczerwienionej, zapłakanej twarzyczki i rzekł czule:

— Nie rozpaczaj, moje kochanie! Jestem żonaty, to prawda, ale to jeszcze żadne nieszczęście!... Możemy się mimo to dalej kochać!... Chcę być z tobą otwartym!... Moja żona jest sobie zwykłą, prostą kobietą, ot! gospodynią i nic więcej!... Ale moje dzieci!... Te kocham nadewszystko!... Tęsknota za niemi pożera mnie!...

— Więc byłbyś gotów... rozwieść się z żoną.. dla mnie, najdroższy?... Tak?... Mów, oh! mów!...

— Z powodu moich dzieci nie!.. Za nic w świecie, mój skarbie!...

— A ja byłabym w stanie każdą ofiarę radośnie dla ciebie ponieść!...

— Więc ty także jesteś zamężną?

— To nie! — szepnęła ledwo dosłyszalnym głosem i zarumieniła się jak piwonia — ale dzieci mam także!...

Persico.

TEMPI PASSATI.

(Westchnienie nieszczęśliwej żony).

Ach! biedna ja kobieta
Już wiem to z doświadczenia,
Że się na naszym świecie
Niestety! wszystko zmienia!

I miłość, w której śnimy
Podobnie jak w malignie,
I miłość ta namiętna
Z latami — także stygnie!

W miodowych mych miesiącach
(Te czasy sobie chwalę)
Myśmy w noc żadną lampy
Nie używali wcale!

W rok czy we dwa najdalej,
Pamiętam rzecz szczególną,
I ja i mój małżonek
Mieliśmy lampę wspólną!

Obecnie — ach, niestety! —
Od zeszłorocznej zimy
Ach! zgroza to powiedzieć,
Że — lampy dwie palimy!

Chat-Noir.

Z senzacyjnego romansu.

. . . . po roku hrabina obdarzyła go ślicznym zdrowym chłopcem. (c. d. n.)

Od wydawcy:

Dalsze egzemplarze w robocie. Dla obonentów za pół ceny.

* Jej sposób.

Do młodej mężatki przychodzi w odwiedziny jej przyjaciółka.

— Jakto? — mówi zdziwiona. — I ty się niczego nie obawiasz? Masz taką ładną kucharkę... a twój mąż lubi ładne buziaki...

— Wcale się nie obawiam... on wie, że gdybym tylko coś podejrzanego zauważyła, natychmiast odprawiam kucharkę i sama zaczynam gotować.. a on przed tą ewentualnością drży...

* W restauracyi.

Gość: Hola! Kelner! Ta pieczeń wołowa ma smak ugotowanej podeszwy!

Kelner: Proszę pana dobrodzieja! To niemożliwe!...

Gość: Jakto niemożliwe! Spróbój, a przekonasz się!

Kelner: Niech pan dobrodziej łaskawie wybaczy, ale ja na prawdę nie wiem, jaki smak ma gotowana podeszwa...

Nie jego.

Pan Z. ożenił się — jednak w cztery miesiące po ślubie, położyła mu się żona do łóżka. Zafrasowany ogromnie, stanął nad łóżkiem i poczyna wzdychać, stękać, mruczeć coś do siebie, co widząc żona, odzywa się:

— Nie martw się Józieczku, bo to nie twoje!..

Na ulicy.

— Powiedzno mi, mój kochany, kto jest ta straszna baba, co za nami z tym panem rozmawia?

— To moja żona.

— Ależ wcale się nie obejrzałeś?

— Opis mi wystarczył!

Dobrane małżeństwo.

Mąż (ujrzawszy swoją żonę z jakimś gościem w seperatce): Tak — no, gdybym był przeczuł, że ty nieszczęsna, takie życie prowadzisz!...

Żona: No — to cóżbyś zrobił?

Mąż: Byłbym dawno podziękował za tę mizerną posadę buchaltera!

Modlitwa dziękczynna.

Akuszerka (woła ojca przez uchylone drzwi): Szczęśliwie wszystko poszło!

Ojciec (patrząc dziękczynnie w niebo): A zatem... Amen.

Akuszerka: Są bliźnięta!...

Ojciec (smutno): W takim razie... dwa razy Amen.

Nerwowa córka.

Odbywało się właśnie wesele panny Broni. Nadeszła właśnie chwila, gdy państwo młodzi wstali od stołu, aby się pożegnać z orszakiem weselnym i udać się do swego gniazdka.

Wtedy matka Broni, kobieta o szalonym temperamencie i przywykła każde swe słowo ilustrować odpowiedniemi giestami, bierze córkę do kąta, aby ją pouczyć o obowiązkach żony względem męża.

— Broniu — odzywa się do niej — muszę ci powiedzieć...

— Gadaj mama, ale bez giestykulacyi, bo goście patrzą się na nas...

Z pod pantofla.

Pantofelkiewicz (który się schował pod stół przed rozindyczoną żoną): Ależ Balbinciu, odstaw laskę, przysięgam ci, że ci nic nie zrobię...

Z dyskursów małżeńskich.

Żona: Żałuję mocno, ale muszę mieć tą suknię... a jeżeli ty nie zapłacisz, to już znajdzie się taki, co z radością da pieniądze...

Mąż: Eh!... pleciesz!... Zawsze tylko te puste pogróżki.

Na śmiertelnem łożu.

Żona (z płaczem do męża): Więc mnie opuszczasz i musimy się rozłączyć?!

Mąż (konając): Dzięki Bogu!...

Zgodny.

Matka: A więc dam panu zaliczkę na posag, ale będziesz pan moją córkę kochał?

Narzeczony: I na dowód, że ją będę kochał mogę także dać zaliczkę!

Wygadał się.

— No, jakże się miewa dziś twoja teściowa?

— Dziękuję, trochę gorzej!...

O MIŁOŚCI.

W miłości człeku bądź autodydaktą
Sam zawsze badaj jej słodycz lub grozę,
Bo jeśli tej sztuki pouczać cię ma kto,
To będziesz fuszerem, nigdy wirtuozem.



— Ale wiesz, że nóżkę to ma doprawdy jak Venera!..

— Bardzo możliwe, bo widziałem ją niedawno, jak wychodziła od jednego specyalisty wenerycznego...



— Pamiętaj dyrektorku, że jeżeli podniesiesz mi gażę, będę umiała cię zadowolnić!...

— Moje dziecko, kiedy widzisz... ja nie mógłbym już ciebie zadowolnić...



— Bój się Boga Stefa i w takim stanie przychodzisz do mnie z wizytą?

— Złapała mnie w drodze do ciebie taka straszna ulewa, że przemokłam na wylot!...

— Dobrze moja droga, ale ja przecież nie jestem pismosuszkiem, żebym z ciebie tę wodę mógł wygnieść!...

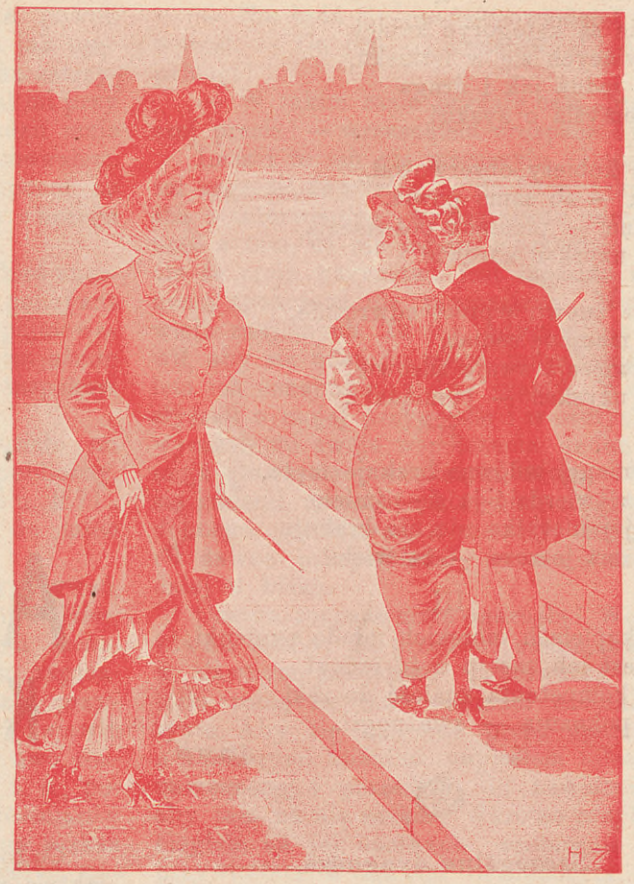


— Pod tym samym dębem spoczywałam, będąc przed pięciu laty na wycieczce w tej stronie i do dziś dnia nie mogę o tem zapomnieć. Wspomnienie tego spoczynku, prześladuje mnie jeszcze ciągle.

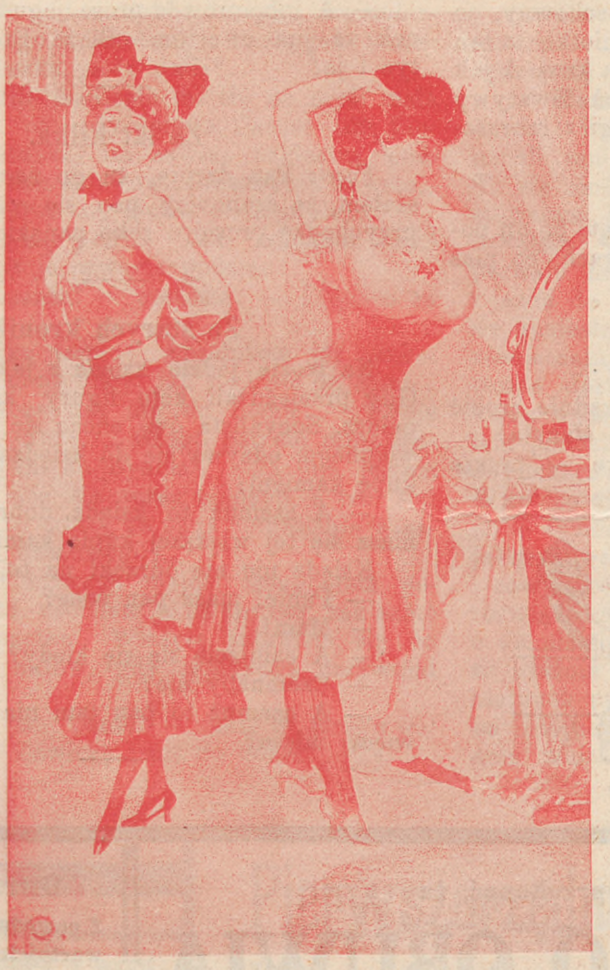
— Tak?... A czy przypadkiem to wspomnienie, to nie ten czteroletni braciszek pani?...



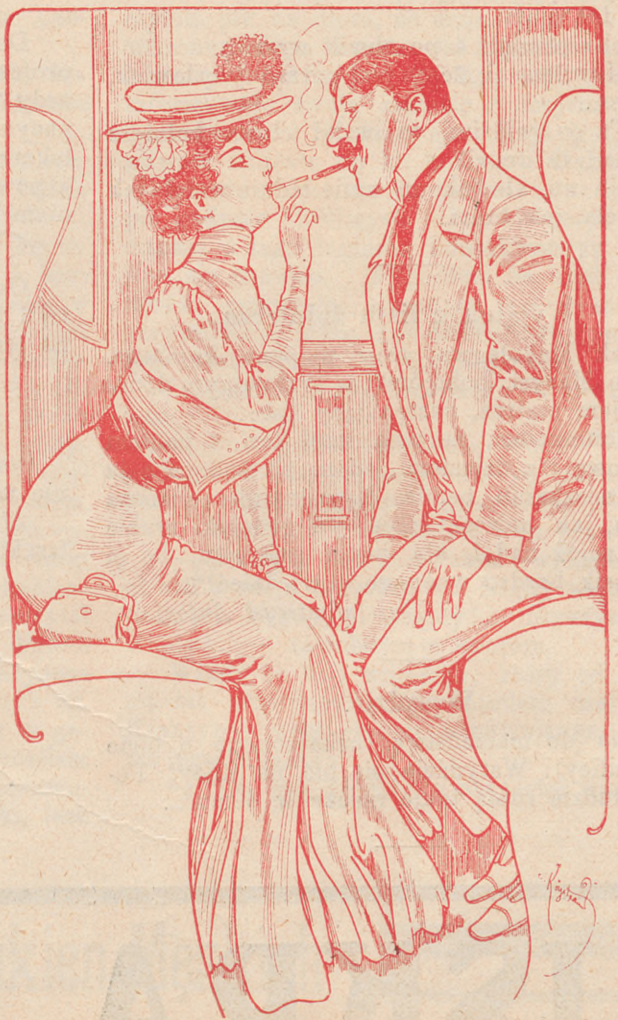
— Ja z panią już nigdy śpiewać nie będę, bo robi mi się zawsze słabo...
— To nie patrz pan na klawisze!...
— To też właśnie, ja niestety nie na klawisze patrzeć muszę!...



— Widzisz, to jest właśnie ta hrabina, o którą się ci dwaj wojskowi pojedynkowali!...
— No i jakże się skończyło?
— Drapnęła tutaj z cywilem!...



— Dziwię się bardzo proszę pani, że się pani chce to wszystko tak dokładnie przypinać?
— Jakto? Przecieby mi wszystko zleciało przez drogę!
— E, tę parę kroków, to pani z pewnością doniesie!...



— Boję się, czy mnie pan przypadkiem nie poczęstował jakimś odurzającym papierosem, aby mnie potem, gdy nie będę mogła się bronić...
— Proszę pani, ja panią uważam za kobietę tak dobrze wychowaną, iż przypuszczam, że pani nawet bez odurzania nie będzie się bronić...

SENTENCYE Z LETNISK I KĄPIEL.

I.

Dwie są kategorye kobiet
Bawiących się w letnisku,
Ale jedna jak i druga
Przemyśla o zysku!

Kto kobiety obserwował,
Ten — to samo powie,
Jedne — pieniądz poświęcają,
By uzyskać zdrowie.

Inne znowu wprost odwrotnie,
Bo mamonę ceniąc,
Poświęcają swoje zdrowie,
By uzyskać — pieniądz!...

II.

Słomianej wdówce brakuje męża,
Lecz twierdzić ja się ośmielę,
Że jej nietylko nic nie brakuje
Ale ma jeszcze — za wiele!

III.

W kąpielach morskich młode panienki,
A jest ich zastęp dość mnogi,
By kompetenta znaleść do ręki
To pokazują — swe nogi!...

Amaris.

Szczególna dyagnoza.

Maciejowa: Ależ ci państwo młodzi z drugiego piętra, to się okrutecnie kochajom!

Janowa: A z cegós pani Maciejowa poznała?

Maciejowa: A dyć, bo ich opierom!

Poznał.

Simche Bettlerhals i Gedalje Trompeter chodzą razem zbierać jałmużnę. Właśnie stają przed mieszkaniem jakiegoś rotmistrza i Gedalje mówi do Simchego:

— Słuchaj Simche, tu mieszka jeden rotmistrz, un jest bardzo ostry człowiek i paskudny antysemitnik, un nie lubi żydów, to ja do niego nie chce iść a jak ty chcesz, to idź sam do niego.

— Un jest antysemitnik? To ty Gedalje jego nawet nie znasz, bo un jest właśnie bardzo porządny, fajny człowiek, ja jego znam od dawna, ja sam pójdę do niego...

— Idź!

Simche poszedł a po chwili wraca.

— Mówiłem ci, że on jest porządny człowiek, a widzisz...

— Ta co widzisz, ta wziął ci za kołnierz i wyrzucił za drzwi?

— Nu nu, ale jak un mnie ładnie wziął, jak przyjaciela, jak brata.

* Wyjątek z listu żołnierza.

Antek Makolągwa *pucer* u pana kapitana, pisze do Marysi, pokojówki w tym samym domu na II-giem piętrze, następujący list:

„I donoszemci, że pom kapi tan z paniom kapitanową i z dzieciami, idom na śpacyr a ja som w miszkaniu bende. Moja najuko chańsza Marysiu, jak możesz sobie puł godzinki zrobić *frei*, to zejdź nadół, ale przez gor setu, bo ci mom cosik bardzo ważnego powiedzieć!"...

Tfuj infanteryst Antoni.

W sądzie.

Sędzia (do małżeństwa, oskarżonego o bicie się na ulicy): Wstydźcie się bić na ulicy! Porządni ludzie robią takie rzeczy w domu!...



AFORYZMY KINDERMETHA

Co to jest metamorfoza? Metamorfoza to jest, jak się postawi w kawiarni nowy jedwabny parasol a un za godziny przemieni sobi w stary bawełniany.

* * *

Dlaczego kubita jest zagadką? Nu, bo ulega rozwiązaniu.

* * *

Jak kto na ciebi uderzy kamieniem, to ty uciekaj i daj znać policyi.

* * *

Od panny do kubity jeden krok — od kubity do panny cały tramway.

* * *

Dzisiaj to som bardzo częszkie czasy! Jak si postawi jeden numer to jest ekstrakt, jak trzy to terno — ale proszy mi takiego pokazacz? Terno dżysz, to jest bardzo rzadka rzecz!

* * *

Do wszystkiego czeba mieć szczęści! Jeden profesor od chirurgii to jest taki pechowny, co żedy un komu operował nawet nagniotki, to ten pacyent napewne dostanie zakażenia krwi. A jak lekarz co ma szczęście zrobi komuś lewatywy z powidłami, to wychodzą mu pirogi z czereśniami!

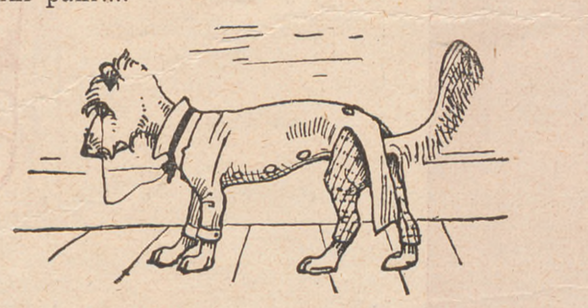
* * *

Człowiek jest wyższy od zwierząt, bo un potrafi to samo zrobić na dwóch nogach, co pies na trzech, a krowa na czterech.

W kuchni.

Pani: Że też ty nigdy nic porządnie zrobić nie umiesz!? Gdzieżeś ty przedtem służyła?

Sługa: U kawalira, ża kużynke — prosze łaszki pani!...



Z WŁASNYCH FUNDUSZÓW.

Kobietka elegancka
Dwudziestu kilka latek,
W urzędzie odpowiednim
Zapłacić ma podatek!

— Niech pani raczy usiąść
Urzędnik rzekł uprzejmie —
Zupełnie jak u siebie
Niech pani futro zdejmie!

Podatek wymierzony
Łaskawa moja pani!
Wierz mi, najsprawiedliwszy,
Zrobimy wymiar dla niej!

Tak z wielką galanteryą
Urzędnik mówił młody:
— Więc z czego pani żyje
I jakie jej dochody?

— Z funduszów własnych — rzeknie!
— To spytać się znów muszę —
Rzekł grzeczny urzędniczek:
Racz wskazać swe fundusze!

— Hm! — dobrze rzecze pani,
Traktujmy rzeczy ściśle —
Przyjdź pan dziś wieczór do mnie
To — może się namyślę!...

Chat-Noir.

Na reunionie.

Mąż (przedstawiając): To moja żona, a to niby moje córki...

W szkole wiejskiej.

Do pierwszej klasy normalnej na wsi zeszło się w pierwszy dzień lekcyi masę dzieci. Nauczycielka po spisaniu katalogu, chcąc się przekonać, czy też dziewuchy umieją pacierz, woła pierwszą z brzegu i pyta:

— Kaśka, a umiesz ty pacierz?

— A ino!

— No, to przeżegnajże się!

— W imię sy... syna i du... ducha...

— A gdzież *ojciec* — pyta nauczycielka?

— A dyć ze świniami na jarmark poseł — odpowiada Kaśka.

Wet za wet.

Ksiądz: Czy to prawda mój Antoni, że wam Pan Bóg już trzy żony zabrał?

— A ino, prowda prose jegumości, ale wzionek se juz owortom! Bieże Bóg — to biorę tyz i ja!

Za lat kilka.

Facet: Pan daruje, że go nachodzę, ale słyszałem, że szanowny pan się rozwodzi, dlatego przychodzę prosić o rękę pańskiej żony...

Ze starych kronik.

Na wozie jedzie ksiądz z jakimś socyalistą. Gdy przejeżdżali koło figury, ksiądz zdjął kapelusz. Socyalista ów, chcąc się zabawić w dowcipnego, odzywa się do księdza, wskazując na kupę kamieni:

— A czemuż to ksiądz dobrodziej nie kłaniasz się tej większej kupie kamieni?

Ksiądz nic nie odrzekł na to, tylko pyta:

— Panie! masz pan żonę?

— Mam!

— A całujecie się się kiedy?

— Czemużby nie?

— A czemuż to pan tam nie całujesz, gdzie więcej mięsa?

Waryat.

Humoreska krakowska.

Ostatnie słowa, które jeszcze zrozumiałem, pochodziły z ust starszego prokurzysty, który, sam pijaniusieńki jak król Bela IV, mamrotał pod nosem swój bombastyczny toast na cześć jubilującego szefa. Bezpośrednio potem extracugiem pojechał (prokurzysta, nie szef) do Rygi, a ja za jego budującym przykładem.

Skąd się tam wziąłem? Całkiem po prostu. Mój teść *in spe* był dobrym znajomym szefa i na skutek tej teściowskiej protekcyi mogłem być świadkiem wzniosłej, a tak w naszych opłakanych stosunkach ekonomicznych rzadkiej uroczystości: jak fabryka wykluwaczy do zębów („Pierwsza polska fabryka wykałaczek“) obchodziła 15-letni jubileusz swego istnienia. Przy takich sposobnościach piję relatywnie dużo, to też wkrótce jestem absolutnie pijanym. Anglików zresztą nienawidzę, ale jak piję, rodzi się pewna harmonia między mną a... Londynem: oto nad ranem gęsta mgła, podobnie jak ulice londyńskie zalega moją skołataną łepetę.

Na dworze panował siarczysty mróz. Mróz, jakiego nawet tak zwani najstarsi ludzie nie pamiętają. Bo z tymi dobrodusznymi „starymi ludźmi“ to istna komika! Niechno nawiedzi nas jakieś trzęsienie ziemi, wylew Wisły, ogień, wybuch wulkanu, burza, jakiś nowy podatek, lub jakiś inny kataklizm żywiołowy, aliści odrazu zgłasza się legion takich „starych ludzi“, którzy *urbi et orbi* roztrębują, że czegoś podobnego sobie nie przypominają.

Szedłem ulicą (a raczej co krok się potykałem) i chciałem sobie przypomnieć, gdzie ja właściwie mieszkam? A gdy mi się to nie udawało, zapragnąłem przynajmniej się dowiedzieć, na jakiej ulicy się znajduję? W tym celu zacząłem gorliwie szukać tabliczki oryentacyjnej. Nagle zauważyłem brak mojego cwikiera.

— Gdzie jest mój cwikier? — ryknąłem zrozpaczony. — Dajcie mi cwikier, mój cwiiikiee-rr!...

W tej chwili przystąpił do mnie policyant.

— Niech pon na ulicy nie hałasujom! — rzekł surowo mąż prawa. — Niech idą spokojnie do domu!...

— Ja chcę mieć mój cwikier! — rzekłem udobruchany i ruszyłem naprzód. Nagle strzeliła mi inna myśl do głowy. Troska o cwikier znikła, natomiast przez dziwną asocyacyę wyobrażeń zacząłem myśleć o mojej narzeczonej... Ach! Ty słodki kocie!... Gdybyś wiedziała, jak smutnie dla twego lubego wypadł jubileusz wykałaczek!... Zacząłem śpiewać, przyczem głos mój miał wiele podobieństwa do ryku lwa śmiertelnie zranionego. „Dziewczę z buzią jak maaalina! Twoje oczka perły dwie“...

W tej chwili nasunęło mi się na myśl małe spostrzeżenie: oto gdy śpiewa Caruso lub Floryański, towarzyszy im zawsze orkiestra, podczas gdy mojemu śpiewowi towarzyszy zawsze... policyant... Znowu się zjawił obok mnie...

— Wstydź się pon!... Taki szkandał robić na ulicy!... Już je czworta godzina!

— Przepraszam! — rzekłem. — Dopiero za pięć minut!...

— Wszystko jedno! Absalutnie jez zabronione hałasować na ulicy, jak sie idzie do domu...

— Ja jeszcze nie idę do domu!... „Twoje oooczka perły dwie!“... Czego pan się mnie czepia?... Idź pan do dyabła!... Ja już jestem w domu!... Chcę się teraz położyć, a pan suń się z gipsem, bo zrobię na pana doniesienie o zakłócenie miru domowego!...

Przy tych słowach moich, ściągnąłem pospiesznie palto, rzuciłem je na trotoar, tak samo surdut i kamizelkę. Właśnie zabrałem się do zdejmowania butów, gdy policyant przywołał dorożkę.

— Chodź pan, panie! — rzekł do mnie z politowaniem. — Zawiozę pana do domu!...

Zabrałem moje manatki, wsiadłem do dorożki i zacząłem deklamować wyjątki z mojego dwunastoaktowego dramatu, który już wszystkie teatry w Europie odrzuciły. Dorożka powoli toczyła się po nierównym bruku, a ja jak opętany deklamowałem dalej. Nagle dorożka zatrzymała się, ale ja nie. Policyant pomagał mi przy wysiadaniu, ja deklamowałem, zaprowadził mnie do jakiejś ubikacyi, a ja dalej deklamowałem. Nagle spostrzegłem kilka sienników rzędem na ziemi leżących. Rzuciłem się na pierwszy z brzegu i ciągle deklamując, usnąłem wreszcie.

Już było bardzo jasno, gdy mnie jakieś energiczne szarpanie za rękę zbudziło. Jakiś policyant stał nademną: w pierwszej chwili nie pojmowałem sytuacyi. Dopiero po sekundzie rozjaśniło mi się w głowie: znajdowałem się na inspekcyi policyjnej!

— Do kroćset tysięcy! — przeleciało mi przez myśl. — Czyżbyś popełnił gwałt publiczny, lub przynajmniej przekroczenie z § 312 u. k.?!...

— Do pana komisarza! — rzekł do mnie policyant.

Dyżurny komisarz zaczął mnie wypytywać, kto ja jestem, czem jestem, kto są moi rodzice, czy mam wogóle rodziców, czy jestem szczepiony i t. p. Widocznie dawałem bardzo zagmatwane odpowiedzi, gdyż komisarz kazał przywołać lekarza policyjnego. Wkrótce się zjawił. Komisarz opowiedział mu całe zajście, owo rozbieranie się na ulicy, deklamowanie i t. d., poczem doktór zabierał się do robienia rozmiarów na mojej czaszce. Potem musiałem na rozkaz doktora kaszleć, chrząkać, gwizdać, jęczeć, połykać, ssać, kolano podnosić i opuszczać, język wystawiać, wymawiać literę *A*, a ponieważ jestem konsekwentnym, chciałem także powiedzieć *B*, gdy wtem nagle doktór rzucił mi pytanie:

— Panie! Co pan sądzisz o miejskim zakładzie czyszczenia ulic i o tak zwanych „fortepianach“ Kosobuckiego?

Byłem tak dalece na to pytanie nieprzygotowanym, że wybałuszyłem oczy.

— O niej... o forte... — zacząłem się jąkać...

— Tak jest! Jakie jest pańskie zdanie o tem?

— Miejski zakład czyszczenia? — zawołałem tryumfująco. — Ależ panie doktorze! Funkcyonuje znakomicie! Kraków jest obecnie najczyściejszym miastem na globie! A fortepiany Kosobuckiego są wprost genialnym wynalazkiem!... Toż to chwała dla imienia polskiego!...

Doktór, z miną pełną smutku, zwrócił się do komisarza i rzekł cicho:

— Tak jest! Ma pan racyę!... Ten człowiek jest nieuleczalnym waryatem!...

— Panie konsyliarzu! — próbowałem oponować.

— Nie bój się pan! — uspokajał mnie komisarz. — Nic się panu nie stanie! Wkrótce będzie się pan mógł udać do domu!

— Teraz dopiero zrozumiałem, o co się rozchodzi! Wściekła złość mnie porwała! Ci ludzie uznali mnie za waryata!!... To niesłychane!... To się może fatalnie dla mnie skończyć! Protestowałem, lamentowałem, reklamowałem i apelowałem! Wszystko na nic! Dwóch parobków porwało mnie za barki, wpakowali do dorożki i jazda do ogrodu Angielskiego!... Po kwadransie znalazłem się w tym sławnym przybytku dla nieuleczalnych waryatów. Pierwsza rzecz, którą tamże dostałem, byłto cebrzyk zimnej wody, którą wylano na moją skołataną głowę. Zrobiłem piekielną awanturę i energicznie zażądałem, aby lekarz-specyalista zbadał mój stan umysłowy. Wkrótce zjawił się sławny profesor Pilz i zaczął mnie systematycznie badać. Kazał mi napisać jakąś nowelkę. Napisałem, profesor przeczytał i zawyrokował, że mam nadal tam zostać. Potem rozwiązałem wyśmienicie równanie matematyczne o 42 niewiadomych, lecz lekarze oświadczyli mi, że właśnie moje waryactwo objawia się w genialnych przebłyskach mojej *psychy*. Zagroziłem im interpelacyą w parlamencie, którą niezawodnie wniesie mój krewny poseł Sikorski, lecz wyśmiali mnie twierdząc, że taki się jeszcze nie narodził, któryby słyszał w parlamencie słówko z ust szanownego posła-fachowca.

— Nie łudź się pan! — powiedział mi doktór wprost. — On jest od kanałów, a nie od interpelacyi!

— W takim razie poruszę całą sprawę w na szej prasie! — wrzasnąłem zrozpaczony.

Lecz i to ich nie wzruszyło. Dopiero gdym im zagroził, że zwrócę się do Daszyńskiego z prośbą o interwencyę, wypuszczono mnie na wolność z tem, że nie jestem wprawdzie uleczony, ale że moje waryactwo jest łagodne i publicznemu spokojowi nie zagrażające. Mam bardzo wielu znajomych. To też, gdym się na ulicy zjawił, aby się udać do mego mieszkania, spotkałem ich conajmniej z dwa tuziny. Wszyscy już słyszeli o mojej przygodzie i w czułych słowach wyrażali mi swoje współczucie. Jeden mówił, że moja głowa się powiększyła, drugi, że mój głos się zmienił, trzeci, że ktoby się mógł czegoś podobnego spodziewać, a czwarty, że on już to od dawna przepowiadał, co mnie czeka i tak dalej w kółko.

Czarna rozpacz mnie ogarnęła! Wszak byłem równie zdrów, jak przedtem, zanim brałem udział w sławnym jubileuszu wykluwaczy a te matołki robią ze mnie całkiem normalnego waryata. Aby się uchronić przed spotkaniem się z kochanymi bliźnimi, napisałem bilecik do mej narzeczonej i poszedłem do kawiarni Bizanza, aby tam na nią czekać. Wkrótce przybyła. Wybiegłem na jej spotkanie, serdecznie się z nią przywitałem, a ona mi oświadczyła, że w te wszystkie bajki, które o mnie krążą, nie wierzy, i żebym natychmiast z nią poszedł do domu. Od niej się także dowiedziałem, że jej papa nie chce więcej o mnie słyszeć.

— Przeklęte wykluwacze! — jęknąłem.

Cały zatopiony w smutnych myślach wyszedłem z nią na ulicę do przystanku tramwajowego. Czekaliśmy zaledwie trzy kwadranse, a tramwaj odrazu się zjawił. Pomogłem jej wsiąść, a wsiadłem za nią, a gdy mnie konduktor zapytał, dokąd jadę, rzekłem roztargniony:

— Ulica Morgensterna Nr. 68, pierwsze piętro od frontu!

Rzekłem te słowa z całą powagą tak, że dopiero po chwili błysnęło mi w głowie, żem znowu popełnił głupstwo. A moja biedna narzeczona zarumieniła się, jak gotowany rak.

— A zatem to prawda! — szepnęła zrozpaczona.

Od tej chwili nie przemówiła do mnie ani słówka. Gdyśmy stanęli przed jej domem, zobaczyłem jak na dłoni, że moja dymisya jest nieuchronną. Papa musztrował mnie dziwnym wzrokiem, podczas gdy w kąciku moja narzeczona informowała swoją mamcię o mojem dziwnem fantazyowaniu w tramwaju. Moja gołębia cierpliwość zbliżała się ku końcowi. Namiętnie zacząłem dowodzić, że to wszystko, to tylko głupie gadanie złośliwych ludzi, ale że ja sam wyciągam z tego logiczną konsekwencyę i dyskretnie się usuwam. Wypadłem na ulicę z niezłomnym zamiarem wyspania się gruntownego, przynajmniej przez trzy doby. Szukałem dorożki, gdy wtem zjawił się mój wujaszek.

— Jak się masz, chłopcze! — zawołał z daleka.

— Pod psem doskonale, wuju! — odrzekłem. — Znasz już moją historyę? Pomyśl sobie, podejrzywają mnie, żem zwaryował!...

— Tak jest!... Słyszałem i co prawda...

— Dlatego też zerwałem właśnie w tej chwili z moją narzeczoną... Nigdy więcej się nie ożenię!... Nigdy, przenigdy!... Słyszysz wuju? Nigdy!... — zawołałem z uporem.

Wtedy to mój wujaszek, który od dwudziestu lat skowyczy pod pantoflem mej cioci — Ksantypy, rzekł głosem, zdradzającym najgłębsze przekonanie:

— Nie, mój drogi! Ty nie jesteś waryatem!...

Persico.

Na plebanii na wsi.

Gospodyni: Proszę księdza proboszcza na dwa guziki! Trzeba kupić i przyszyć do sutanny!

Proboszcz: E, poczekajmy do niedzieli — jak będzie kwesta, to znowu kilka guzików wleci do puszki...

Wziął go.

Pan X. zblazowany młodzik arystokrata, oświadcza się o rękę córki majętnego kupca.

— Ależ panie — nie wstyd to — taki młody, zdrów i silny człowiek, jak pan, może przecie pracować!...

Na wyścigach.

— Ten koń idzie, jak osioł! Jabym go wyścignął!

— Ba! to musisz poczekać, aż handicap osłów urządzą!...

* Niepocieszony wdowiec.

Pan X. jest wdowcem od kilku miesięcy. Podczas Zielonych świątek spotyka się z przyjacielem, który na święta przyjechał do Krakowa i z którym blisko rok się nie widział. Po przywitaniu pyta go przyjaciel:

— No! Jakże się czujesz jako wdowiec?

— Hm!... Widzisz... Najpierw opłakiwałem nieboszczkę z obowiązku, później z przyzwyczajenia.. a teraz... a teraz... sprawia mi to ogromną przyjemność...

JESZCZE LEPIEJ!

Dwie kumoszki gadatliwe
Spotkały się z sobą,
Każda z nich „edukowaną“
Była zaś osobą.

„Co tam słychać moja pani
Pyta jedna drugiej,
Czy mąż dobry, dzieci zdrowe,
Czy są wierne sługi?“

I nawzajem sobie świadczą
Piękne komplementa
I z nich każda ze spotkania
Bardzo jest kontenta.

Wreście jedna trąca drugą
I potrząsa głową:
— „Moja pani! pani jeszcze
Nie jesteś teściową?“

— „Nie! niestety! — odpowiada
Pierwsza z smutkiem na to —
Nie! *teściową* nie zostałam
Ale — *babką* za to!..“

Chat-Noir.

Dobra rada.

Ona: Że znalazłem się w tym stanie, to jest tylko twoja wina! Radź mi teraz, co mam robić?

On: Radzę ci — jaknajprędzej wyjść za mąż...

Wierna żona.

Chłop (umierając — do żony): Magda... jak pomre, to idź za Wojtka, bo to dobry gospodarz...

Baba (płacząc): My tyż to już tak *rychtig* przed rokiem jesce uradzili z Wojtkiem...

Pantofel.

4-letni Czesio: Tatusiu! Cy moge se wziąść jedno ciastko?

Ojciec: Spytaj się mamy!

Czesio: A cós to tata sam boi się pozwolić?..

Podziękowanie.

...Już dwa miesiące moja żona cierpiała na chroniczną chrypkę, zaś po zażyciu pańskiego eliksiru nie może wcale mówić. Proszę przysłać odwrotnie jeszcze 2 duże flaszki!

Wdzięczny do śmierci

Roman Grochowski.

Podczas rygorozum.

Profesor: Czy można dać choremu gram strychniny?

Kandydat: Można... ale...

Profesor (przerywając): Czyś pan oszalał?

Kandydat (spokojnie): Można, ale chory umrze!...

FILIA C. K. UPRZYW. GALIC. AKCYJNEGO

BANKU HIPOTECZNEGO

W KRAKOWIE

Wchód z Rynku głównego L. 21

biura parterowe, telefon Nr 361:

Kantor Wymiany sprzedaje i kupuje papiery wartościowe, monety zagraniczne, wydaje listy kredytowe i czeki na zagranicę, wypłaca kupony i wylosowane efekty bez potrącenia prowizyi, ubezpiecza papiery losowane przeciw stracie przy losowaniu.

Oddział depozytowy i Schowki depozytowe (Safe-Deposits) w opancerzonych kasach ogniotrwałych.

Oddział wekslowy.

Oddział wkładek gotówkowych w rachunku bieżącym i na książeczki rachunku bieżącego; wydaje na żądanie oprocent. asygnacye kasowe.

Oddział towarowy. Składy zbożowe Filii przy ulicy Zacisze. Osobny magazyn tranzytowy. Osobny tor kolejowy.

Wchód z ulicy Brackiej – parter

Oddział zastawniczy i Kasa Zaliczkowa Pożyczki za poręką, zaliczki na zastaw papierów wartościowych i przedmiotów cennych (ze złota, srebra, biżuteryi i t. d).

I. piętro – telefon Nr 7

Dyrekcya udziela informacyi w sprawie kredytów budowlanych i pożyczek hip. Korespondencya — Buchalterya.

Filia Banku Hipotecznego w Krakowie wykonywa wszystkie zlecenia w zakres czynności bankierskiej wchodzące szybko, za opłatą mierną. Na listowne zlecenia lub zapytania udziela odpowiedzi zwrotną pocztą.



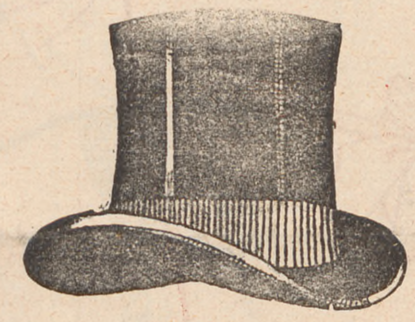
A. HAWEŁKA w Krakowie

ces. i król. Dostawca Dworu

poleca winogrona świeże słodkie, jabłka tyrolskie. Porter oryginalny angielski, pięknie musujący, firmy: „Barchay Perkins & Co., London“.



Kraków
ul. Sławkowska
L. 3.

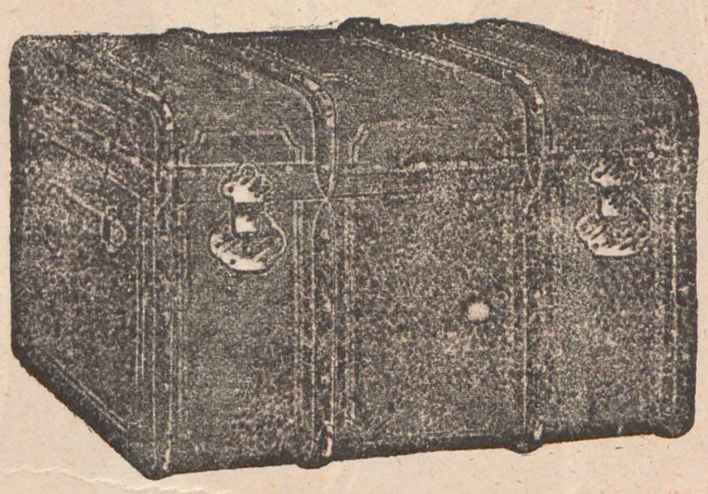


Kraków
Hotel Saski
Telefonu nr. 516.



Magazyn galanteryjny. Skład kapeluszy, bielizny, obuwia amerykańskiego i przyborów do podróży

Cenniki illustrowane na żądanie wysyła darmo i opłatnie.

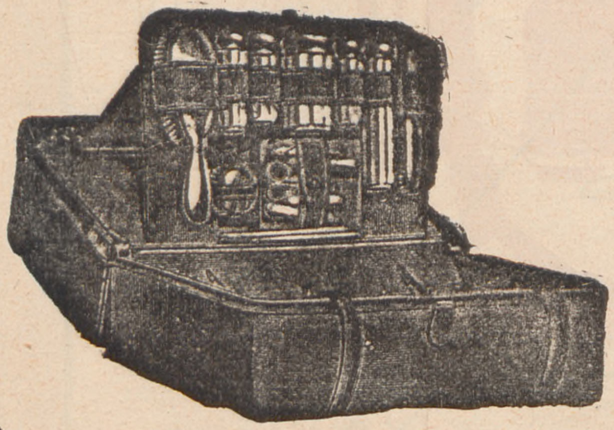


Cenniki illustrowane na żądanie wysyła darmo i opłatnie.



ZDZISŁAW ZDANOWICZ









Właściciel i wydawca: Stanisław Lipiński. Za redakcyę odpowiedzialny: Stefan Karczmarski. Z Drukarni Narodowej w Krakowie.



— Podobno pani robiła furorę na występach w Warszawie?
— Rzeczywiście, panie generale! Płacono po sto rubli za krzesło, aby mnie widzieć w mych plastycznych pozach!
— O, do kroćset! Ileż w takim razie kosztowała otomanka?...